

OPIEKUN POLSKICH DZIECI.

Trzeba będzie ważyć, służyć,
Milczeć, cierpieć i wojować!
I nie jedno miłe zburzyć
A inaczej odbudować....

Kto tam zgadnie, gdzie osiędziesz.
Jaką wodą w świat popłyniesz,
W której stronie walczyć będziesz,
I od czyjej broni zginiesz?

Wyleć ptakiem z tego gniazda,
Miłać będzie taka jazda,
Spojrzeć z góry na twą ziemię.
I rodzinne twoje plemię....

Nr. Lwów dnia 5. maja 1869. **13.**

WIOSNA.

(Przez T. Lenartowicza.)

Zniknęły już śniegi, spłynęły już lody,
I rzeka porusza się gładko;
Jaskółki szczebiocąc, wybiegły z pod wody.
Całe ich unosi się stadko.
Kręcą się, wiją się, to niżej, to wyżej,
Nad czystą jak kryształ rzeczułką;
A coraz to szypciej, a coraz to chyżej,
A w kółko, a w kółko, a w kółko.
Na brzegu zielonym, na bujnej, na trawce
Pasą się dwie krówki, baranek,
A pastuch przygrywa na długiej ligawce,
I słonko przygrzewa w poranek.

Przelotny wiaterek to trawką zawichrzy,
To w trzcinę, w tatarak się wkradnie,
Zakłóci, zamąci, i cichszy, i cichszy,
W zielonym gaiku przepadnie.
Ligawka przycichnie — to dzwonek z kościołka,
Z za lasu, z daleka zadzwoni;
A dzwonek zamilknie, to złota mi pszczółka,
Zabrzęczy na kwietnej na błoni;
A pszczółka przysiędzie na świeży sasanek,
To pionska dziewczęcia drzy w wietrze.
O! Boże mój drogi — w wiosenny poranek
Jak wszystko i świeższe i letsze.
Ja siedzę pod lipą odwieczną, schyloną,
Co ledwie że w pączki rozpuka;
I słucham jak w lesie pod sosny koroną,
Kukułka wciąż kuka i kuka.
Kukułko! kukułko! a dużo tam jeszcze,
A dużo naliczysz mi latek?.....
O ptasze ty moje! o ptasze ty wieszcze,
I kiedyż tam będzie ostatek?.....
Już dziesięć. dwanaście, i jeszcze wciąż dzwoni,
Za wiele, ty moja ptaszyno! —
— Nie bój się, nie wiele — w ojczystej ustroni,
Twe lata jak woda przepłyną.
. . . .

Przyjazd i powitanie Karola Libelta we Lwowie.

(Dokończenie.)

Opowiedziawszy już, jak serdecznie witali mieszkańcy kraju naszego p. Karola Libelta, obiecałem wam też opisać w krótkości jego życie, to jest czyny i zasługi jego, któremi sobie na taką miłość i szacunek u wszystkich zasłużył współrodaków. Przeczytajcie więc z uwagą te kilka wierszów następnych, a przekonacie się, że tylko rzetelną a uczciwą pracą — może człowiek spełnić obowiązki, jakich od niego Pan Bóg i ludzie wymagają, a tem samem tu na ziemi być kochanym od wszystkich, a po śmieści zyskać nagrodę w niebie.

Karol Libelt urodził się roku 1807 w Poznaniu, które to miasto, tak jak nasz Lwów dla Galicyi, jest stołecznem miastem tych ziem dawniej Polski, co dziś zostają pod panowaniem Prusaków.

Małem chłopięciem jeszcze będąc, okazywał Karolek wielkie zdolności i chęć do nauki, co widząc troskliwi o dobro syna rodzice, obdarzyli go jak najstaranniejszem wychowaniem. Początkowe nauki, jak to było zwyczajem w poczciwych rodzinach polskich, pobierał od swej kochanej matki, która obok pierwszych pojęć o panu Bogu, wpajała w młode i wrażliwe serce chłopięcia, miłość do kraju rodzinnego — uczyła go, jak wypełniać przykazania Boże, jak kochać bliźniego, uczyła go — wskazując przykłady sławnych mężów Polski, jak trzeba żyć i pracować za młoda i przez całe życie, by będąc

Polakiem, zasłużyć sobie na imię syna Ojczyzny. W siódmym roku życia umiał już mały Karolek dobrze czytać i pisać, wiedział, gdzie znajdują się: Gniezno, Kraków, Wilno, Kijów, Warszawa; wiedział, jakimi to ludźmi byli: Lech, Krakus, Wanda, Bolesław Chrobry, Bolesław Krzywousty, Kazimierz Wielki, Jadwiga, Jagiełło, Zygmunt Stary, hetman Tarnowski, Stefan Batory, Jan Zamojski, Jan III. Sobieski, Kontski, Puławski, Kościuszko, Jan Kochanowski, Rej, Konarski, Chrzanowska, a w świąteczne dni lub na imieniny mamy lub taty, ubrany po krakowsku z szabelką przy boku, szczebiotliwie jeszcze ale śmiało deklamował najpiękniejsze ustępy z spiewów historycznych Niemcewicza. Kochali go też rodzice, krewni i sąsiedzi, bo nigdy niechęcią, uporem lub lenistwem nie zasługiwał na naganę, owszem był grzecznym, posłusznym, szanował starszych, kochał braciszków, siostrzyczki i rówieśników swoich, był uprzejmym dla służących, nikomu a nawet źwierzętom nigdy nie robił żadnej przykrości. Tak pięknie ubiegły chłopięce lata małego Karolka.

Gdy ukończył z chlubnym postępem szkoły początkowe, oddali go rodzice do gimnazyum Maryi Magdaleny w Poznaniu. Jakim był w domu rodziców, takim pozostał i w szkole, i tu dopiero nauki przez kochaną matkę w serce jego wpajane — piękny owoc wydały. Rok za rokiem postępował w naukach, i zawsze z radośnem sercem po egzaminie biegł do domu — by u stóp matki i ojca złożyć chlubne świadectwa i otrzymane nagrody. W bardzo młodym wieku — bo zaledwie 16 lat mając, skończył gimnazjum i udał się na wszechnicę do Berlina, miasta stołecznego Prus, wówczas bowiem nie było jeszcze takiej szkoły w Poznaniu, gdyż Prusacy nie dbali oto, aby młodzież polska w kraju miała wyższe szkoły. Młody Karol, teraz już młodzieniec wziął się z całym zapałem do nauki, a obrawszy sobie jako główne przedmioty matematykę i filozofią, w tychże tak znakomite robił postępy, iż niebawem zwrócił na siebie oczy nauczycieli i zyskał miłość i poważanie współuczniów. W obcym mieście, pośród obcych ludzi nie zapomniał też o kraju rodzinnym, o swej kochanej Polsce, a każda wiadomość z nad Warty, Wisły lub Niemna, żywą przejmowała go radością. Właśnie wówczas na naszej świętej i kochauej Litwie w mieście Wilnie i Kownie uczniowie tamtejszych szkół zaczęli słynąć po całej Polsce z pilności, nauki, obyczajności i przywiązania do Ojczyzny. A Ojczyzna nasza wymagała wówczas więcej niż kiedykolwiek przywiązania od swych synów, bo właśnie car Mikołaj, rozpoczął swe srogie rządy, i znęcać się począł po barbarzyńsku nad naszą krainą. Sławny nasz poeta Adam Mićkiewicz, wtedy już nauczyciel przy szkole w Kownie, pierwsze swoje prace poetyczne, pełne zapału i miłości kraju ogłosił, a wszyscy Polacy szczególnie młodzież polska, z zapałem je czytali i czerpali z nich natchnienie do dalszej pracy na niwie ojczystej — czerpali z nich siły do przyszłej walki z dzikim nieprzyjacielem. Przyjaciel Mićkiewicza, nasz kochany Tomasz Zan, uczeń wszechnicy wileńskiej, słowem i czynem zagrzewał młodzież polską uczącą się do rzetelnej pracy, do miłości i poświęcenia dla Ojczyny. Wszyscy uczniowie w Wilnie i na Litwie pracowali jak pszczółki, żyli w zgodzie jakby jedna rodzina, a tem samem **za młodu hartowali się do pracy całego życia, do zgody i jedności, jaka wszystkim Polakom potrzebna do dopięcia wielkiego celu, do oswobodzenia drogiej Ojczyzny.** To też takie życie i prace uczniów wileńskich nie podobały się Moskalom, car kazał zamknąć szkołę, a większą część uczniów zabrał do wojska lub wysłał na Sybir, najczynniejszych zaś jak Tomasza Żana, jak prostych zbrodniarzy wskazał do ciężkich robót w kopalniach. Lecz chociaż car przemocą i gwałtem rozerwał te piękne węzły, chociaż zgniótł dążenia i prace polskiej młodzieży, to przecież nie wytępił owocu, jaki ta praca wydała. Na całej polskiej ziemi zapłakano za szlachetnymi uczniami wileńskiemi, ale postanowiono sobie iść za ich przykładem. W wszystkich miastach polskich młodzież wzięła się ochoczo do nauki, by tym sposobem stać się kiedyś mogła pożyteczną krajowi. I do Berlina doszedł ten szlachetny zapał, a uczący się tamże Polacy, postanowili iść za przykładem swych kolegów z kraju.

Karol Libelt stanął na czele i wszystkich pobudzał do wytrwania, a chcąc przyświecić przykładem, podwoił pilność i już w drugim roku pobytu na wszechnicy najlepiej napisał uczoną rozprawę, za którą dostał złoty medal nagrody. W następnym roku otrzymał zaszczytny stopień doktora filozofii — który to tytuł po złożeniu bardzo ścisłych egzaminów z wszystkich przedmiotów tylko najlepszym uczniom udzielają. Teraz spieszył do domu,

Zaledwie jednakże stanął pod strzechą ojczystą, zaledwie odetchnął powietrzem rodzinnem, zaledwie miał czas przywitać się z wszystkiemi pamiątkami lat dziecięcych, z tymi drzewami ojcowskiego sadu, z kamykami, pagórkami, z tym trawnikiem, po którym nieraz hasał na drewnianym koniku; aliści odgłos krwawego boju, jaki bracia z nad Wisły poczęli z dzikiem Moskalem — doleciał uszów młodziana. Żywo stanęły mu przed oczy wszystkie owe sny lat dziecinnych o ułanach i kosynierach polskich, przypomniały się wdzięcznie słowa kochanej matki chłopięciu wszczepiane o obowiązkach względem Ojczyzny, a dwodziestotrzech letni choży młodzian rzucił się do stóp sędziwych rodziców i prosił o błogosławieństwo na wojaczkę. Serdecznie przycisnęła matka kochanego syna do bijącego radością serca, a znacząc krzyż pański na jego czole, wśród modlitw, błogosławieństw i czułych łez miłosnych, wyprawiła na pole walki. Ojciec obdarzył go starą szablicą i mówiąc: „Bij się mężnie, polecam cię Bogu“ — błogosławił uroczyściie — ściskającego jego kolana syna.

Zasilony tak drogiemi upominkami, powstał młodzieniec pełen zapału, silny jak olbrzym, i lotem ptaka, z pieśnią ową na ustach:

„Hej! ramię do ramienia! silnemi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko,
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,
I w jedno ognisko duchy!“

pospieszył do Warszawy i zaciągnął się w szeregi wojska narodowego.

Zapewne to najpiękniejsza chwila w życiu młodego Libelta! życzę wam młodzi moi czytelnicy, **byście i wy podobnej chwili dożyli w waszem życiu, gdyż zaręczam wam, że bez takiej chwili życie nie ma na później uroku, a wspomnienie takiej chwili zdolne ukoić, choćby i najsrozsze ciosy i nieszczęścia w życiu człowieka.**

Młody Libelt walczył odważnie w szeregach narodowych jak na prawego przystało Polaka, uczestniczyl w wszystkich ważniejszych bitwach wojny z roku 1831; a za szczególną odwagę i dzielność w owej sławnej bitwie pod Grochowem otrzymał chlubną nagrodę — złoty krzyż zasługi, tak zwany: „**Virtuti militari**“, który błyszczał na piersiach wszystkich sławnych obrońców Polski po jej upadku — jak Dąbrowskiego, Kniaziewicza, księcia Józefa, Zajączka, Chłopickiego, Skrzyneckiego; Dwernickiego, Dębińskiego i wielu wielu innych.

Do ostatniej chwili walki wytrwał Libelt i dopiero po rozproszeniu wojska naszego przemocą dziczy moskiewskiej, opuścił szeregi i powrócił do wsi ojcowskiej, gdzie jako właściciel tejże w innym jak dotąd zawodzie dla narodu pracować zaczął. Stał się prawdziwym ojcem, opiekunem i doradzcą włościan, a grzebiąc skrzętnie w tej tak bujnej grzędzie polskiej obok gospodarstwa i rządności, wszczepiał miłość do kraju i poczucie obowiązków w swych współziemian i sąsiadów.

Lecz nie tu kres jego zasług dla narodu. Bogaty w wiadomości i nauki umysł jego, a przytem kochające kraj serce — wskazały mu inny ważniejszy jeszcze obowiązek. Został nauczycielem młodzieży polskiej. Wszystkie obfite zasoby swej wiedzy i nauki w rozlicznych pismach rozsełając po ziemiach polskich, bogacił umysły współrodaków, uszlachetniał serca — i wychowywał na dzielnych synów Ojczyzny. Na tem polu pracował i pracuje Karol Libelt niezmordowanie aż do obecnej chwili, a imie jego znane nietylko wdzięcznej mu Polsce, ale i ludziom uczonym wszystkich krajów świata.

Przytem nie zapomniał on i o innych obowiązkach Polaka. Jako ojciec wychował dzielnych synów na usługi Ojczyzny. Do ostatniej naszej walki z Moskalami wysłał dwóch synów, z których jeden poległ za Ojczyznę, a drugi okryty ranami wstępuje w ślady ojca. Godne zaiste pamięci są słowa Libelta, któremi pocieszał strapioną wieścią o śmierci syna matkę: „**Nie wymawiaj go Bogu i Ojczyznie**“. Słowa te najlepiej odslaniają nam szlachetne serce drogiego nam ziomka, który przez całe życie swoje niezwordomanie orężem, słowem, cnotą, nauką, pracą rzetelną i ofiarą własnego syna, spłacił dług, jaki jako Polak dłużen był Polsce.

A czyż rozumiecie teraz czytelnicy moi, dlaczego to Polacy tak serdecznie kochają Karola Libelta i za co go tak świetnie w Lwowie i po różnych miastach kraju naszego przyjmowali?— Dla was niech on stabie się przykładem jak to już od pierwszych lat dziecięcych trzebe pracować — by się stać, kiedyś miłym Bogu — Ojczyznie i ludziom.!!

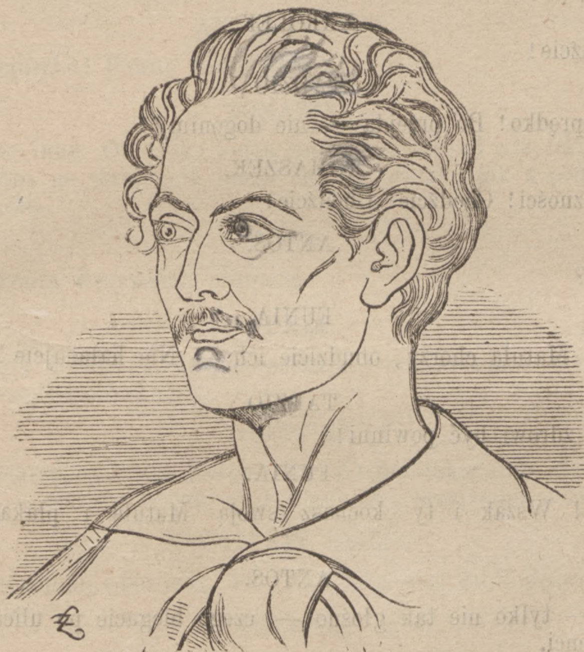
A. K.

Nauka rysunków.

Lekcya IX.

(C. d. *).

Dwie ostatnie lekcye pouczyły nas o stósunku, w jakim zostają do siebie sposzczególne części składowe głowy; odstępować od tych reguł nie wolno, bo nie ma człowieka, któryby miał nos dwa razy dłuższy niż czoło, któregoby ucho jedno niżej, drugie wyżej leżało, lub któryby miał oko na czole albo na brodzie. Zasady wyłuszczone w 7 i 8 lekcyi są ogólne, u wszystkich ludzi jednakie. — Nie wynika jednakowoż z tego, aby wszyscy ludzie byli do siebie zupełnie podobni; przeciwnie, nie znajdziesz dwóch zupełnie jednakowych.



W czem leży ta różnica? Oto w odmianach kształtu niektórych części głowy. Ten ma nos zadarty, ów gruby, inny wydłużony, a cienki; tego usta są obwisłe, grube, ów zaciska je, inny znów wykrzywia; i czoło u jednego jest płaskie, niskie, inny ma wypukłe, wystające; tak samo i oczy podlegają zmianom, widzimy bowiem oczy wielkie, szeroko otwarte, jasno w świat spoglądające, to znowu przymrużone o powiekach obwisłych i grubych. Niepodobna tu wyliczać wszystkich możliwych odmian; spostrzegać się one dają codziennie i każdej chwili, a kto chce rysować dobrze, ten niech pilnie zwraca na wszystko uwagę, a to co widzi, niech usiłuje narysować; z początku wprawdzie to idzie trudno, ale rysując wiele, można dójść do takiej wprawy, że się kilkoma kreskami podobieństwo uchwyci. Dołączony wzór podaje głowę mężczyzny w pełni wieku, o rysach regularnych, jakie u nas powszechnie spotykamy. Przerysować ją należy pilnie i z uwagą a szczególnie uważać należy na gładkość linii. Rysując włosy, trzeba śmiało i odważnie ołówkiem kierować, jednakowoż tak, aby się linie nie krzyżowały. Mianowicie konice włosów powinny być lekko i swobodnie traktowane, inaczej wyglądać będą twardo jakby z drzewa.

---

*) W drugim zeszycie roku 1868 podane są pierwsze lekcye rysunków. Uznając ważność takowych obecna redakcya uzupełnia dokończenie.

BICZYK
KOMEDJA PACHOLĘCA W DWÓCH AKTACH
z czasów Kościuszkowskich

przez

Apolla Nałęcza Korzeniowskiego.

Scena trzecia.

Ciż sami. **Karolek, Tadzio, Zosia, Tomaszek.**

(wbiegają z krzykiem i hałasem.)

ZOSIA.

Funiu! Funiu!

KAROLEK.

Chodźcie! Chodźcie!

TADZIO.

Tylko prędko! prędko! Bo przejdą — nie dogonimy!

TOMASZEK.

Śliczności! Śliczności! Chodźcie! Chodźcie!

ANTOŚ.

Dokąd? po co?

FUNIA.

Nie hałasujcie! Matula chorzy, obudzicie ich — Nie hałasujcie!

TADZIO.

Teraz wszyscy zdrowi być powinni!

FUNIA.

Cicho, Tadziu! Wszak i ty kochasz swoją Matulę i płakałbyś gdyby jej ktoś przykrość zrobił.

ANTOŚ.

Ależ mówcie — tylko nie tak głośno — czego biegacie po ulicach? Co się stało? Czegoście tacy kontenci.

ZOSIA.

Nasi idą! Nasi przyszli! I mój Tatko i twój i jego — wszyscy!

Antoś i Funia.

A nasz? A nasz?

ZOSIA.

A i wasz być musi — Ale gdzietam na kogo patrzeć, kiedy w siebie oczy bierze ten, co po przedzie jedzie. Chodźcie, chodźcie! Zobaczycie.

TADZIO.

Jaki konik tęgi pod nim! Idzie jak na powietrzu, oczy mu świecą — rozgląda się po ulicach, ale to jak człowiek! Uszami strzyże i ciągle parska, a ludziska wrzeszczą: „Na zdrowie! na zdrowie!“ Ogon — jak czub! A taki śliczny, że u żadnej pani na głowie takiego nie widziałem!

ZOSIA.

Konik piękny, dzielny, żywy — prawda. Ale on na nim, jeszcze piękniejszy! On! Ach! Funiu, on taki — taki, że mimo woli do Boga się wzdycha, aby do niego Tatko lub brat był podobny!

TOMASZEK.

Bo to szabla brzęczy! Bo to ładownica na nim połyska! Bo to czapka na bakier, zdaje się ot, ot w górę poleci!.. A ostrogi świecą u butów. Gdy się poruszy to i całe wojsko ten sam ruch powtórzy. Gdy skinie, to się wszystko wojsko i lud pochyli, jak to kiedyś widziałem na polu kłosy się chyliły, gdy wicher przeleciał.

ZOSIA.

A jak patrzy! jak patrzy na nas, na cały lud, co się ciśnie mu do nóg! Tak patrzy, jak mój starszy brat na swoją narzeczonę patrzał, gdy szli od ślubu. Gdyby ludzie tak ciągle na siebie patrzeć mogli, to prędkoby wszyscy ze szczęścia pomarli i staliby się Aniołami!

ANTOŚ i FUNIA.

To pewno Kościuszko! Pewno Kościuszko!

TOMASZEK.

A już-ci nie kto inny. On tylko jeden może być tak od wszystkich kochany! Czy wy wiecie, że gdy on stąpa po kraju, to ludzie mu do orszaku jak z pod ziemi rosną; każdy rzuca dom, żonę, dzieci...

ZOSIA.

Bo on ich do dobra wszystkich prowadzi.

FUNIA.

I nasz Tatko tak mówił, kiedy nas porzucał; bo powiadał, że my i Matula i Tatko sam to nic, gdy o wszystkich chodzi.

TOMASZEK.

Mówią, że on czarodziej, pan Kościuszko. Że ma takie dwa słowa, że jak je powie to wysokie się chyli, a niskie wyrasta — Poczekajcie, przypomnę sobie...

WSZYSTKIE DZIECI.

Przypomnij, przypomnij i powiedz, To i my taką moc mieć będziemy jak Kościuszko.

TOMASZEK.

Ojczyzna i **ofiara.**

KAROLEK.

A toż to nam powtarzać te wyrazy jak pacierz, bo mój Tatko tłumaczy że chociaż trudno abyśmy Kościuszkami byli wszyscy, ale te wyrazy złożą z nas siłę, którą pan Kościuszko wojuje.

WSZYSTKIE DZIECI oprócz FUNI.

Chodźmy krzyczeć koło niego te czarodziejskie słowa! Chodźmy, chodźmy.

(Wybiegają z sklepu. Antoś porzucił biczyk i za niemi chce wybiedz.)

Scena czwarta.

Antoś i Funia.

(zatrzymuje brata)

A ty zapomniał że Tatko do tych wyrazów pana Kościuszki dodawał trzeci jeszcze **Poczciwość?**

ANTOŚ. (spiesząc.)

Niezapomniałem, nie — Puszczajże, niech to przypomnę kolegom!

FUNIA.

Ale czy sam będziesz poczciwy jak porzucisz Matulę, biczyka nie dokończysz, ziela dla Matuli nie kupisz?

ANTOŚ.

Ależ Funiu — to Kościuszko!!!

FUNIA.

Gdybyś był dorosłym, jak Tatko, to jabym ciebie nie zatrzymywała, jak Matula Tatka nie zatrzymywali.

ANTOŚ.

Ty mądra dziewczyna Funiu, i poczciwa bardzo. Dziękuję tobie i kocham cię jeszcze więcej — Idź do Matuli. Ja zostanę przy biczyku; bo to obowiązek, — a obowiązek to godność nasza, biednych ludzi! (Funia wychodzi.)

Scena piąta.

Antoś (sam)

Antoś

(pracuje i kończy biczyk.)

Przecie! Jakoś mi poszło dobrze — To Bóg nagrodził żem się przyjemności wyrzekł.

(trzaska biczykiem.)

Tęgo! ślicznie!.. Chyba ten panicz jakiś bardzo wymyślny, gdy nie będzie zadowolony. Aż mi żal ten biczyk oddawać. To tóbym nim sztuk dokazywał! Aj, aj!... Gdybym był na miejscu tego panicza, a gdyby dla mnie kto biedny taką przyjemność zrobił, to dałbym mu.... dałbym.... aż dukata i jeszcze kilka groszy!... Już i nasz dawny czeladnik nic lepszego by nie sporządził — Biczyk na urząd, co się zowie!

(po chwili)

Możebym teraz mógł pójść do pana Kościuszki? Co? A nuż pójdę? Bo nasze przekupki powiadają że do takiego człowieka to i pomodlić się nie grzech. A pójdę!

(po chwili.)

Nie — Lepszą mam rozrywkę. Pójdę zobaczyć Matulę; może się obudzili — może mi co powiedzą dobrego, że aż wyrosnę!

(wchodzi do pokoju matki.)

Zdania pisarzy polskich.

Kto Boga nie kocha, kto Ojczyzny nie kocha, ten nie godzien zwać się człowiekiem.

(Tomasz Zan.)

Nauką, pieniędzmi drudzy się zbogacą;
Mądrość musisz sam z siebie własną odbyć pracą.

(Adam Mickiewicz.)

Dla czego duchem po rodzinnej ziemi
Błądzę ja zawsze rozkopując groby,
I szukam życia zgasłego pod niemi,
Życia wśród prochów, śmierci wśród żałoby? — —

(Józef Ignacy Kraszewski.)

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Aleksander Kisielewski. Z drukarni Dr. H. Jasieńskiego.